



Opowieść Indian prerii

Żona bizona

By mogli jeść, musieli zabijać. Zabijali bizona. Te potężne silne zwierzęta były dla nich jedyną szansą na przetrwanie. Ale zabić bizona nie było łatwo. Nie mieli odpowiednich gatunków drzewa na łuki i strzały. Nie mieli narzędzi z metalu na groty... Zabijali je biegiem.

Biegiem

Pędem

Galopem

Biegnij biegnij biegnij... Bizona biegają stadem.

Biegnące szaleńczo zwierzęta ginęły spadając z wysokiej skały. Tam czekali inni mężczyźni z plemienia, żeby dobić półprzutomne zwierzęta. Potem nieśli je do wioski i oddawali kobietom. Byli syci. Plemię znów przetrwa zimę.

Ale tego roku bizona nie dały się zrzucić, rozpędzone hamowały tuż przed skałą. Całe stado stało. Całe plemię czekało.

Jestem głodny – pomyślał chłopiec. *Chcę żyć* – pomyślał młody bizon. *Chcę żyć* – pomyślał chłopiec. *Jestem pożywieniem* – pomyślał młody bizon.

Stali naprzeciw siebie. Długo. Ludzie drżeli. Bizona trwały. I pewnie wymarliby ludzie z plemienia tej zimy, ale nagle z chaty wyszła Łagodna Gałąź. Była córką wodza plemienia, jej babką była Wierzba. Łagodna Gałąź szła prosto na stado bizonów. Jej ruchy były płynne jak wiatr, jej postać była lekka jak oddech. Szła uratować tych, których kochała.

Stanęła naprzeciw stada bizonów i powiedziała: *Ja wasza siostra. Wy moi bracia. Wasze dzieci to moje dzieci, wasza siła to siła mojego ludu. Nazywam się Łagodna Gałąź. Kocham. Stanę się jedną z Was, stanę się żoną waszego wodza, ale musimy jeść. Stańcie się naszym pożywieniem.*

Jeden z bizonów, a był to ten sam młody bizon, który rozmawiał z chłopcem z plemienia, tupnął. Reszta zwierząt odwróciła się szybko.

Tak. Siostrze. Ty jesteś z nas.

Bizona zaczęły jeden po drugim rzucać się w przepaść. Ludzie stali i patrzyli. *Przeżyjemy tę zimę, będziemy mieli mięso bizona.* Tylko jeden chłopiec z plemienia patrzył na Łagodną Gałąź zatroskany. On wiedział, że stała się ich ofiarą. *Wybawię was, gdy sama umrę.* On wiedział. On rozumiał mowę liści na wietrze.

Ludzie pobiegli na dół. Mnóstwo zwierząt leżało martwych. Zaczęli zabierać zdobycze. Wracali do wioski radośni, pełni marzeń o bezpiecznej przyszłości.

Tylko łagodna Gałąź została nieruchoma na szczycie skały. Naprzeciw niej stał przewodnik martwego już stada.

Chodź moja żono. Poprowadzę cię daleko za rzekę, tam żyją inne bizona, moi bracia. Tam założymy rodzinę.

Łagodna Gałąź odeszła z nim, by żyć życiem samicy bizona. To była jej ofiara.

Ludzie najedli się tej nocy i zasnęli sytym snem. Tylko wódz plemienia, ojciec łagodnej Gałęzi, czuwał. Jego córka odeszła z bizonem. Rano wyruszył daleko za rzekę, by ją odzyskać. Ale bizona były podniecone, czuły śmierć swych braci na skórze wodza. Rozbiegły się nagle i wróciły zwartym kręgiem do środka. Zdeptały człowieka tak, że wyzionął ducha. Wtedy nadbiegła łagodna Gałąź.

*Ach, co robicie, co robicie bracia moi, to przecież ojciec mój!
Jak może być twoim ojcem, kto zabija naszych braci, siostrę?
To mój ojciec. Oddajcie mu życie! Jestem kobietą z człowieka, żoną bizona. Kocham.*

Wtedy stara bizonica zawyła. *Jeżeli ty oddasz mu życie i my oddamy mu życie siostrę.*

Łagodna Gałąź zaczęła zbierać ciało swojego ojca. Wśród piachu i kamieni odnalazła jego części. Złożyła je w całość kawałek po kawałku. Miał kształt, ale nie oddychał. Wtedy wezwała wiatr. *Wietrze, moja siostrę, wiej.*

Przytępnął wiatr. I wlał ducha w ojca łagodnej Gałęzi a ona tańczyła – tańczyła – tańczyła i płakała, a każda kropla łez spadała na ciało martwego mężczyzny, aż zaczął oddychać. Odrodził się z tańca i łez swej córki.

Wtedy bizona przyszły do łagodnej Gałęzi, by przywrócić życie ich siostrę, braciom, córkom, synom, matkom, ojcom, którzy poginęli poprzedniego wieczoru. I łagodna Gałąź tarzała się w piachu zbierając wspomnienia ich ciał i płakała, i tańczyła, i tańczyła. I każdy z bizonów wstawał i żył.

Od tej pory zawsze, kiedy ludzie zabiją bizona, płaczą. A młoda kobieta z wioski tańczy. Tańczy tak długo, aż dusza zwierzęcia odejdzie do swoich braci.

Bo jestem tym, kogo zjadam.

Opowieść Inuitów

Futro foki

Tam, gdzie jeden biały dzień goni jedną białą noc a trwa to okrągły rok, w maleńkim igloo, z dala od osad ludzkich, żył młody mężczyzna imieniem Immuyak. Jego życie wypełniała ciężka praca a jego głowę wypełniały tęskne myśli. Marzył, by do jego domu ze śniegu wprowadziła się piękna kobieta, nie wiedział jednak, jak miałby ją zdobyć. Pewnego dnia jeden z jego psów zerwał pas uprzęży i uciekł z zaprzęgu. Immuyak szukał go długo wpatrując się w płaski jednolity krajobraz, gdzie nie widać było nawet linii horyzontu. W końcu w oddali dostrzegł ruch. Popędził w tamtą stronę, ale nie był to jego pies. W otwartej wodzie kąpała się piękna młoda kobieta. Immuyak zatrzymał sanie w oddali, by nieznajoma zajęta kąpielą nie mogła go usłyszeć. Podkradł się w pobliże i zaczął chłonąć widok wszystkimi swoimi zmysłami. Kobieta była zachwycająca. Nagle zauważył czarny kształt na śniegu. Było to futro foki. Immuyak zrozumiał, że kobieta jest boginką-foką, która raz do roku, kiedy dzień przechodzi w noc, zażywa kąpeli w swym ludzkim wcieleniu. Jego pragnienie było jednak silniejsze niż rozum. Nie zastanawiał się. Chwycił futro i zaczął biec przed siebie tak szybko, jak można biec po głębokim śniegu. Kobieta zauważyła go. Zauważyła również brak futra.

Człowieku, stój, co robisz!

Musisz pójść ze mną – powiedział Immuyak – chcę cię uczynić moją żoną.

Jestem foką, nie będę szczęśliwa w twoim igloo. I ty nie będziesz szczęśliwy ze mną.

Błagam cię, spędź ze mną siedem dni i siedem nocy, siedem lat. Potem oddam ci twoje focze futro.

Kobieta poszła z nim. A że był pięknym i dobrym mężczyzną, pokochała go całym sercem, tak jak tylko foka może pokochać człowieka. I żyli razem siedem lat. I urodził im się syn. A kobieta foka kochała go całym sercem. Jak matka.

Ale z każdym dniem, a były to długie dni polarne, stawała się słabsza i bledsza. Immuyak przynosił jej jedzenie, najlepsze, jakie potrafił zdobyć w tym trudnym, białym świecie. Palił dla niej wieczny ogień, dbał o nią, tak jak tylko mężczyzna potrafi dbać o swą ukochaną. A jednak kobieta słabła. Siedziała długimi godzinami, wpatrywała się w dal i śpiewała rzewną pieśń –

Mój dom jest tam

A ja jestem tu

Jestem tu a tam mnie nie ma

A jestem tam bardziej niż tu

Tu jestem jestem tu jestem

A nie ma mnie nie ma mnie nie ma

Nie mogła już zajmować się swoim synem, nie mogła już dać miłości swojemu mężczyźnie. Powiedziała w końcu –

Immuyak kocham cię i kocham naszego syna. Ale oddaj mi ją. Oddaj mi moją skórę. Minęło siedem dni i siedem nocy, siedem lat. Mój czas z tobą się skończył.

Zła kobieto! Chcesz odejść i pozostawić swojego syna? Nie oddam Ci futra foki, musisz żyć z nami, tak jak przysięgłaś.

To ty łamiesz obietnicę, Immuyak. I łamiesz mi serce.

Immuyak porwał skórę foki i wsiadł do zaprzęgu, chciał odjechać z nią daleko i ukryć ją, by ukochana nie mogła odejść. Ale potężna bogini Sedna, władczyni wszystkich mórz, wiedziała, że miejsce kobiety jest w skórze foki, w głębokiej wodzie. I kiedy Immuyak pędził swym zaprzęgiem, zerwał się ogromny wiatr aż ocean zaczął szaleć. Psy się spłoszyły, zerwały uprzęże i uciekły. Zaprzęg wyrócił się a futro foki wpadło do wzburzonej wody. Wtedy nadpłynęły inne foki, przechwyciły futro i odpłynęły.

Kobieta pocałowała swojego synka, którego kochała, tak jak kocha matka.

Zawsze będę z Tobą, ale nasz czas się skończył. Muszę wracać tam, gdzie moje miejsce. Bądź szczęśliwy mały Immuyaku, synu starego Immuyaka, bądź szczęśliwszy bardziej niż umiał być twój ojciec.

Kobieta odeszła w stronę głębokiej wody. Jej siostry foki czekały na nią przy brzegu. Kobieta foka przyjęła od nich futro foki i odpłynęła tam, gdzie było jej miejsce.

Immuyak żył odtąd ze swym synem, młodym Immuyakiem, który po kilku latach, dniach i nocach poślubił zwykłą ludzką kobietę i był z nią szczęśliwy.

A jego matka foka raz w roku, w świątkach zorzy polarnej podpływała bliźutko osady i śpiewała dla nich pieśni miłości.

Bo jestem tym, kim jestem.

Opowieść japońska

Małpia lekcja

Tak, czcigodna matko – powiedział Keikokuhebi – pójdę, by dokonać tego, co do mnie należy. Moim obowiązkiem jest pomścić pana Mōjin. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, wyciągnę moje miecze i dokonam zemsty. Na zimno.

Idź Keikoku Hebi, Uważny Wężu – powiedziała matka – przeznaczeniem wojownika jest służba lub śmierć, przeznaczeniem matki wojownika jest zgoda.

Pan Mōjin był wielkim suzerenem, rządził twardą ręką. Wieśniacy bali się go, więc darzyli go należnym szacunkiem. Keikokuhebi był najmłodszym z jego wojowników, dopiero niedawno snycerz wykuł jego miecze, dopiero niedawno pojawiły się pierwsze włosy na jego brodzie, ale pan Mōjin wybrał go sobie, ulubił go, przyjął jak syna. To on nauczył go kaligrafować pulsujące rytmem znaki, to on nauczył go czytać uczone pisma, to z nim przechadzał się po brzoskwiniowych sadach, wśród śpiewu słowików. Teraz, po okrutnej śmierci pana Mōjin, Keikokuhebi musiał opuścić dom i wyruszyć na poszukiwanie jego trzech zabójców.

Dziki pies, śmigły sokół i złośliwa małpa zabili pana Mōjin, kiedy wyruszył na samotną wyprawę. Oblegli go zniecka i jednocześnie. Pan Mōjin nie zdążył przywołać ducha walki. Pies odgryzł mu ramię, by nie mógł dobywać mieczy, sokół wydziobał mu oko, by nie dostrzegał przeciwników, a małpa wyrwała mu serce, by nie kochał. Pan Mōjin zmarł wśród demonów strachu, inaczej niż przystało na wielkiego wojownika.

Wieść rozniosła się szybko przez ryżowe pola, wieśniacy jeden przez drugiego opowiadali jak zuchwałe zwierzęta pokonały wielkiego pana. Kiedy dotarła do pałacu pana Mōjin, matka Keikokuhebi zatroskała się bardzo. Przed wyprawą bowiem pan Mōjin wyznaczył Keikokuhebi na, swojego pierwszego sługę.

Musisz zatem iść synu. Niechaj bogowie czuwają nad tobą i powrócą cię tu mądrzejszego. Lub martwego.

Keikokuhebi pokłonił się matce, ubrał się odświętnie i wyruszył. Nie zabrał konia ani służącego. Zabrał tylko swoje młode miecze, *daisho* – duszę wojownika. Przeprowadził się przez wielką rzekę, rzucił złotą monetę przewoźnikowi, by obłaskawić bogów i ruszył w góry. Po kilkunastu minutach wszedł w głęboki las.

Pierwszy nadleciał sokół. Przepęłniała go męskość i duma. Bystrość wzroku.

Młody z ciebie wojownik – powiedział – i młodą masz duszę chłopcze. Czemu miałbyś dokonywać zemsty za kogoś, kto w istocie nie był jej wart?

Ale Keikokuhebi nie przybył tu dyskutować z ptakiem. Niezwykle szybkim ruchem wyciągnął miecze i machnął nimi siedem razy. Głowa ptaka upadła obok jego martwego ciała. Keikokuhebi oddał ukłon duchowi przeciwnika, oczyścił miecze i ruszył dalej.

Ale miał wrażenie, że ptak nadal żyje. Czuł jego obecność, jego wzrok, jego szybkość, zwinność, lot. Ptak nie opuszczał go, choć przecież leżał martwy.

Samuraj nie pozwala, by strach nim zawładnął. Samuraj czyni sprzymierzeńca ze strachu. Bez strachu nie ma odwagi. Keikokuhebi powtarzał w myślach wersety *Bushido*, kodeksu Samuraja, z którego jeszcze niedawno odpytywał go pan Mōjin.

Tylko dlaczego wybrał mnie? I dlaczego zwierzęta go zabiły?

Nie zdążył tego przemyśleć, bo z zarośli wyszedł ogromny pies, stanął naprzeciw niego na drodze.

Wracaj do domu chłopcze – powiedział – niech wierność twoja biegnie w parze z mądrością.

Keikokuhebi zawahał się. Jak uderzenie w głowę wróciło pytanie: *Dlaczego zwierzęta go zabiły?* Kiedy wyciągał miecz, pies skoczył na niego, a tego młody Samuraj się nie spodziewał. Walka była długa i nieoczywista. W końcu jednak głowa psa spoczęła obok jego martwego ciała. *Czułość, wierność, ochrona...* – sam nie wiedząc dlaczego pomyślał Keikokuhebi. Oddał ukłon duchowi przeciwnika, wyczyścił miecz i ruszył dalej.

Teraz podążał z nim i sokół, i pies a w głowie kłębiło się coraz więcej pytań. *Kim właściwie był dla mnie pan Mōjin?*

Wtedy usłyszał ohydny, impertynencki śmiech. Tuż nad jego głową zwisała z gałęzi małpa. Keikokuhebi popełnił błąd, zamiast wyciągnąć miecz, zaczął przyglądać się małpie.

Zabawny jesteś chłopcze. Za młody na tę wyprawę.

Wojownik dokonuje zemsty na zimno. Wojownik nie próbuje zrozumieć wroga, rozpoznaje tylko jego taktykę, by odeprzeć ją precyzyjnie. Keikokuhebi powtarzał w myślach zapamiętane strofy. Ale małpa się go nie bała. Zeskoczyła z drzewa i stanęła przed nim. Spojrzała mu głęboko w oczy i splunęła mu w twarz.

Porządek dla powstrzymania wichrzycieli, spokój dla uciszenia zgiełkliwych - oto panowanie nad sercem – powiedziała, a potem roześmiała się w sposób niesłychanie ordynarny. Keikokuhebi nie mógł się ruszyć, nie dobył mieczy, stał jak sparaliżowany. Małpa miała rację. Jego serce kołatało w piersiach a w głowie kłębił się przemożny gniew ponizenia. Wojownik nie dokonuje zemsty w gniewie.

Keikokuhebi ukłonił się nisko. *Dziękuję ci za tę lekcję, czcigodna nauczycielko* – powiedział, po czym odwrócił się i odszedł ze spuszczoną głową. Ale nie odchodził sam, wysoko nad nim leciał sokół a obok jego nogi biegł pies. A cały las dudnił opętańczym śmiechem małpy.

Bo jestem kimś więcej niż JA.

Opowieść Aborygenów

Pełnia kokosa

Ci którzy byli tu zawsze
Mają swoją opowieść
Dawno – dawno – dawno temu, kiedy ziemia była jeszcze bardzo młoda
I kiedy ludzie nie wiedzieli jeszcze o swoim istnieniu
Bo ich po prostu jeszcze nie było
Wśród gorących lasów
Wśród ciepłych jezior
Wśród wysokich gór
Mieszkali oni

Oni byli bardzo ładni
Oni byli bardzo mądrzy
Oni nie znali strachu
Oni płakali tylko ze szczęścia
Oni byli jednością
Jak wyglądali?
Byli podwójni
Podwójni
Cha cha

Jak kobieta z mężczyzną wpatrzeni w swe oczy
Jak mężczyzna z mężczyzną złączeni w uścisku
Jak kobieta z kobietą wtulone piersiami
Oddychali równo
A od ich śmiechu powstawało życie
I wszelkie zwierzęta

Kangury
I węże
I nietoperze
I krokodyle
I motyle
I mrówkojady
I wilki
Niedźwiedzie
I każdy inny
I ptaki i robaki
Pająki
Wszystko – wszystko –
Wszystko podwójnie
Każdy był z jednej z tej samej substancji
Z miłości

I nagle
Nie wiadomo dlaczego
Stał się wybuch
Po prostu wszystko wybuchło
I oni
Oni
Rozpadli się
Rozpadli
Każdy na dwa oddzielne kawałki
Jak dwie części kokosa
I mleko się wylało

I odtąd zaznali bólu
I strachu
I niespełnienia
I nie kochają ziemi, która już nie jest taka młoda i trzeba dbać o nią
Nie kochają, bo zapomnieli jak kochać
I nie kochają siebie
I zabijają
Nie po to, by jeść
I smutne są ich samotne ciała
I ciągle szukają doskonałości
Choć jej nie znają
I płaczą w gniewie i bólu

Ale nie martwcie się
Nie martwcie
Ci, którzy byli tu zawsze, powiadają, że kiedy księżyc dogoni słońce
Złączą się znowu
I rozkwitną pełnią
I zazielenią spustoszoną planetę
Kiedy znów się połączą nie będzie strachu
Bo kiedyś znów będą razem
Znów będą jedni
Bo jestem tobą, bo jestem
Śmy
Z ziemi